



Obóz dla uchodźców



O. Jacek Gniadek SVD

Posługa wśród uchodźców

Tekst i zdjęcia Jacek Gniadek SVD, Liberia

Dziękuję bardzo za Wasze modlitwy i listy. Teraz Wasza modlitwa jest mi bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. We wrześniu zmieniłem tymczasowo kraj mojej misyjnej posługi z Botswany na Liberię. Do Monrowii, stolicy Liberii, przyleciałem z Abidżanu, stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej, na pokładzie małego, wysłużonego, ukraińskiego Antonowa. W prawie półmilionowej Monrowii nie ma bieżącej wody ani prądu. Czternastoletnia wojna domowa zniszczyła znaczną część infrastruktury i niemal sparaliżowała gospodarkę. Ok. połowy ludności straciło dach nad głową.

Największy problem Liberii

Liberii wynosi tylko 3,3 mln. Wojna domowa doprowadziła do migracji prawie miliona ludzi. W chwili obecnej 300 tys. Liberyjczyków przebywa poza granicami kraju. Największym jednak problemem, przed którym staje tymczasowy rząd w Liberii, są uchodźcy. Stanowią oni prawie 1/4 ludności

kraju. Większość z nich od czternastu lat żyje w prowizorycznych, tymczasowych i walących się schroniskach, pozbawionych najbardziej podstawowych warunków. Są całkowicie uzależnieni od międzynarodowej pomocy żywnościowej.

Duża grupa wysiedleńców znalazła schronienie w hrabstwie Montserrado, w okolicach Monrowii. Jezuicka Służba Uchodźcom (*Jesuit Refugee Servi-*

ce, JRS), włoska organizacja pozarządowa, założona 20 lat temu przez jezuitów, prowadzi szkoły i kursy przysposobienia zawodowego w pięciu obozach. Największy z tych obozów, Ricks, liczy ponad 20 tys. uchodźców. Od kilku lat werbiści współpracują z JRS. Obecnie w Liberii jest trzech werbistów: dwóch z Polski i jeden z Indonezji.

Co możemy zrobić?

Dużą popularnością cieszy się trzymiesięczny kurs nauki pisania i czytania dla dorosłych, kończący się wręczeniem świadectw. Nie chodzi tu jednak o dyplomy. Br. Dominik, młody jezuita z Nigerii, który pracuje ze mną w Montserrado twierdzi, że umiejętność czytania potrzebna jest tu do przetrwania. Niedawno w obozie, w dniu dystrybucji żywności przez ONZ, pewna starsza kobieta przybiegła do niego uradowana i z pełną satysfakcją oraz dumą wyznała: „Dzisiaj już nie mogli mnie oszukać. Pokazałam im, że moje nazwisko jest na liście”. Po raz pierwszy odeszła z pełnym workiem żywności.

Swoją działalnością jesteśmy w stanie tylko w minimalnym zakresie odpowiedzieć na potrzeby uchodźców. Pomoc skierowana jest do wszystkich, bez względu na przynależność religijną. Dominującą grupą wyznaniową w Liberii są chrześcijanie, ale katolicy stanowią niecałe 5 proc. W naszych obozach mamy również małe grupy katolików. W każdą niedzielę dojeżdżam do nich z Eucharystią. Wspólnota w Seighbeh nie ma nawet własnego mszalika z czytaniem na niedzielę.

Rok temu w październiku zakończyła się w Liberii wojna domowa. Trudno uwierzyć, że ten peryferyjny, niewielki kraj w Afryce Zachodniej należał kiedyś do najspokojniejszych państw na kontynencie. Liberia utworzona została jako państwo

w XIX w. w wyniku przesiedlenia części byłych czarnych niewolników ze Stanów Zjednoczonych. Słowa na wyblakłym, postrzępionym znaku przy drodze do Monrowii brzmią dzisiaj jak niedotrzymana obietnica: „Witamy w Liberii! Umiłowanie wolności przyprowadziło nas tutaj”.

Resocjalizacja katów i ofiar

Wojna domowa w Liberii zwróciła uwagę światowej opinii wyjątkowym okrucieństwem i przymusową rekrutacją dzieci do walki zbrojnej. Tysiące dzieci było zmuszonych do zabijania, gwałcenia i znęcania się nad obywatelami ich własnego kraju. Z tego powodu są dzisiaj zarówno sprawcami, jak i ofiarami swoich okrutnych aktów. Resocjalizacja młodocianych żołnierzy to drugi, poważny problem, przed którym stoi dzisiaj Liberia.

Gdy wyjeżdżam każdego dnia rano do pracy, nocny stróż, Michał, otwiera mi ogromną, metalową bramę, na której są jeszcze ślady po kulach automatów Kalasznikowa. Jego blizna po obciętym lewym uchu przypomina mi o okrucieństwie wojny w Liberii. Michał z zawodu jest nauczycielem. Uczył kiedyś w szkole w głębi kraju. Pewnego dnia rebelianci wkroczyli nocą do jego wioski i zabili wszystkich mieszkańców. Nasz stróż był świadkiem śmierci swojej żony i trójki dzieci. Z całej wioski ocalał tylko on. „Widząc moją całą rodzinę leżącą w kałuży krwi – powiedział mi kiedyś drżącym głosem – błagałem ich na kolanach o śmierć. A oni obcięli mi lewe ucho, zjedli je na moich oczach i zostawili samego żywego w wiosce.”

Wciąż nie jest bezpiecznie

Parafia pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny na skraju stolicy otoczona jest ogromnym, białym murem. Pracuje tu na zmianę trzech stróżów. Już ponad rok od zakończenia wojny, a Liberia wciąż nie jest w pełni bezpieczna. Ostatni dzień października 2004 r. miał być terminem dobrowolnego rozbrojenia rebeliantów. Dwa dni wcześniej wybuchły w stolicy zamieszki na tle religijnym. Podpalono meczet w pobliżu głównej siedziby ONZ w Monrowii oraz kilka małych chrześcijańskich kościołów. Zginęło kilka osób, a dziesiątki zostało rannych. W Monrowii wprowadzono godzinę policyjną.

Korzystając z okazji, proszę Was o modlitwę o trwały pokój w Liberii. Niech sprawi, by uchodźcy w tym kraju mogli odczuć, że Bóg towarzyszy im, tak jak towarzyszył Jezusowi, Maryi i Józefowi w ich wygnaniu do Egiptu. I niech zaprowadzi nas do nowego domu i nowej nadziei, tak jak prowadził Świętą Rodzinę do nowego domu w Nazarecie. □



Br. Marek Wojtaś SVD w obozie